

– O, jest menda – powiedział jeden z chłopców z ganku. Levy robił, co mógł, by sprawić wrażenie, że nie zwraca na nich uwagi. Stał u szczytu schodów z piaskowca i sprawdzał, czy sznurówki w jego tenisówkach są wystarczająco mocno zawiązane. Były to jego najlepsze buty, chluba firmy Adidas, pasowały do jego stóp tak, jakby najlepszy fachowiec wykonał je dla niego na miarę i nigdy, nawet w dniu, kiedy je po raz pierwszy włożył, nie zrobił mu się najmniejszy odcisk. Levy niespecjalnie przejmował się swoją garderobą, ale o te buty do biegania naprawdę dbał.

– Hej! Menda! – krzyknął inny chłopak z ganku, przywódca grupy, mały, szybki, mający na sobie najbardziej jaskrawe ubranie. Dorzucił afektowanym tonem: – Jestem pełen uwielbienia dla twojego *chapeau* – i wskazał na czapczkę Levy’ego.

Levy zupełnie odruchowo poprawił na głowie czapczkę golfową, a gdy to zrobił, chłopcy wybuchnęli głośnym, triumfalnym śmiechem. Levy był szczególnie wrażliwy na wszystko, co dotyczyło jego czapki. Już od lat nosił czapkę z daszkiem i nikt nie zwracał na nią uwagi, ale potem, na olimpiadzie w 1972 roku, Wottle wygrał dla USA bieg na 800 metrów; nosił czapczkę golfową, a więc wszyscy przypuszczali, że Levy po prostu go małpuje.

Levy miał zaufanie do niewielu rzeczy na tym świecie, ale jedną z nich – cóż z tego, że wyglądało to na przemądrzałość? – był jego własny rozum. Jak na kogoś, kto nie skończył jeszcze dwudziestu pięciu lat, posiadał dość błyskotliwą inteligencję i nigdy nie naśladowałby nikogo, zwłaszcza biegacza, a więc kolegi po fachu. Teraz zaczerpnął powietrza, próbując się zawczasu przygotować na drwiny chłopców z ganku, i niczym bocian rozpoczął swój jogging po stopniach z piaskowca. Chłopcy z ganku uwielbiali jego niezgrabne ruchy. Wymachiwali ramionami, kwacząc jak kaczki.

Levy nie cierpiał, gdy go w ten sposób przedrzeźniali. Nie dlatego, że nie odpowiadało to rzeczywistości, lecz dlatego, że naśladowali go tak cholernie trafnie. Bowiem on, T.B. Levy, faktycznie wyglądał jak kaczka, przynajmniej czasami. Nie podobało mu się to, ale taka była prawda.

Chłopcy z ganku – zazwyczaj sześciu, sami Latynosi – sprawiali wrażenie, jakby mieszkali na schodach z piaskowca, które prowadziły do budynku znajdującego się o trzy domy bliżej od Central Parku niż budynek Levy’ego. A przynajmniej obsiedli ten taras jak ptactwo od czerwca, gdy przybył tu Levy, a w tej chwili był już wrzesień i wcale nie szykowali się do odlotu na południe. Mieli po jakieś piętnaście lub szesnaście lat, byli drobni, szczupli i bez wątplenia niebezpieczni, kiedy się ich sprowokowało, jadali na ganku, odbijali piłkę ręczną od schodów lub grali na chodniku przed domem i często, późno w nocy, Levy widział, jak obejmują się – i robią o wiele więcej – z dziewczętami z sąsiedztwa. Chłopcy przebywali na ganku od rana do nocy, siedzieli tam, stali, grali, palili i nie zwracali uwagi na cały świat, bo sami byli całym światem, dobrze zorganizowanym i niezmiennym. I czasem, z tego właśnie powodu, Levy zastanawiał się, czy im nie zazdrości. Nie, wcale nie chciał, aby mu zaproponowali, by się do nich przyłączył. Z pewnością odrzuciłby taką ofertę. Choć zresztą kto wie, jak by się zachował. Były to rozważania czysto akademickie, nigdy przecież nie wyszli do niego z podobną propozycją.

Levy skręcił na chodniku w kierunku Central Parku. Gdy przebiegał obok chłopców, ten z nich, który był pełen uwielbienia dla jego *chapeau*, spytał:

– Dlaczego nie jesteś w szkole?

Było to tak niespodziewane, że Levy musiał się roześmiać, bo kiedyś w czerwcu, gdy chłopcy byli szczególnie obelżywi, Levy zadał im takie właśnie pytanie: „Dlaczego nie jesteście w szkole?”. Nie dość, że ich wtedy nie uciszył, to jeszcze przez jakiś miesiąc chłopcy nie pozwolili mu o tym zapomnieć. Ale teraz właśnie, po raz pierwszy od wielu dni, obrócili to zdanie przeciwko

niemu – i stąd wziął się śmiech Levy’ego. „Humor polega na nieoczekiwanym zestawieniu nie pasujących do siebie rzeczy” – kto to powiedział? Levy szperał przez chwilę w pamięci, zanim zdecydował się na Hazlitta. Nie. Czy nie był to Meredith? G.B. Shaw? Myśl, nakazał sam sobie, lecz nadal nie potrafił podać właściwego nazwiska. Był na siebie wściekły, ponieważ takie rzeczy trzeba było wiedzieć, jeśli chciało się należeć do tych naprawdę najlepszych. Jego ojciec od razu by wszystko wiedział, znałby nazwisko pisarza, tytuł dzieła, z którego zaczerpnięto cytaty, stan umysłu autora podczas pisania – czy był to dobry okres w jego życiu, zły, jaki? Zawstydzony Levy zaczął biec szybciej.

Mieszkał przy Zachodniej Dziewięćdziesiątej Piątej Ulicy, między Amsterdam i Columbus. Nie była to z pewnością atrakcyjna okolica, ale student żyjący ze stypendium musiał zdecydować się na mieszkanie, które było jeszcze do wzięcia, a w czerwcu jedynym wolnym miejscem okazał się pokój z łazienką na najwyższym piętrze kamienicy z elewacją z piaskowca pod numerem 148 przy Zachodniej Dziewięćdziesiątej Piątej. Właściwie nie było to takie złe miejsce: świetna do joggingu trasa z Columbi, w bok do Riverside Park i do Sto Szesnastej, a potem prosto jak strzała wzdłuż rzeki – żaden biegacz nie mógłby prosić o więcej.

Levy przeciął Columbus Avenue, przyspieszył jeszcze bardziej, gdy zbliżył się do Central Parku, skręcił w lewo na końcu Dziewięćdziesiątej Piątej, dobiegł do następnej przecznicy, zanurzył się w zieleni, podążył prosto w kierunku kortów tenisowych, a potem już tylko nieznacznie zmienił kierunek i był na miejscu.

Przy zbiorniku wodnym.

Levy już przed wieloma miesiącami doszedł do wniosku, że ktoś, kto stworzył tu zbiornik wodny, myślał wyłącznie o nim. Było to bezbłędne, idealne jezioro umiejscowione w najbardziej nieoczekiwanym miejscu, graniczące z posiadłościami milionerów z Piątej i z ich dalekimi krewnymi z Central Park South, jak również z dalekimi krewnymi tych ostatnich, z Central Park West.

Levy z łatwością wyprzedził innych biegaczy podczas pierwszego okrążenia jeziora. Było wpół do szóstej – zawsze biegał o tej godzinie, ta właśnie pora była dla niego najlepsza. Niektórzy woleli ranne przebieżki, lecz Levy do nich nie należał. Jego umysł funkcjonował najlepiej rano, więc wtedy właśnie, przed południem, poświęcał czas trudnej lekturze. Popołudniami robił notatki lub czytał łatwiejsze rzeczy. Przed piątą czuł się wyczerpany psychicznie, lecz jego ciało domagało się ruchu.

Tak więc o wpół do szóstej Levy biegał. Był niewątpliwie szybszy od innych biegaczy w okolicy, a więc jakiś przypadkowy obserwator mógłby dojść do logicznego wniosku, że ten dość wysoki, szczupły facet, który biega trochę jak kaczką, radzi sobie naprawdę dobrze.

Ale trzeba by także wziąć pod uwagę jego marzenia.

Levy zamierzał biegać w maratonie. Jak Nurmi. Jak niemal już mityczny Nurmi. W przyszłości kibice na całym świecie będą się zaciekle kłócić na temat tego, kto był największym biegaczem w historii – wielki Fin czy sławny T.B. Levy. Levy – będą utrzymywać jedni. – „Nikt inny nie potrafiłby przebiec ostatnich pięciu mil tak jak on”. Inni będą odpowiadali, że zanim doszłoby do tych ostatnich pięciu mil, Nurmi byłby już tak daleko w przodzie, że szybkość Levy’ego nie miałaby znaczenia. Podobne gorące dyskusje ekspertów będą się ciągnąć przez całe dziesięciolecie.

Levy bowiem nie zamierzał zostać jakimś tam pierwszym z brzegu maratończykiem. Każdy mógł nim być, jeśli tylko zdecydował się poświęcić temu życie. Nie, on zamierzał zostać największym z maratończyków. Kolejną jego ambicją było posiadanie oszałamiającej, wybitnej

inteligencji, zestawionej z niesamowicie rozległą wiedzą, ale utrzymywanej w ryzach poczuciem skromności, równie głębokim co szczerym.

W tej chwili posiadał jedynie tytuł magistra w dziedzinie literatury, który uzyskał w Oksfordzie, oraz potrafił się ścigać bez zmęczenia jedynie na dystansie piętnastu mil. Ale dajcie mu kilka lat, a zdobędzie zarówno tytuł doktora, jak i mistrza. A tłumy będą wiwatować „Le-vy, Le-vy”, zagrzewając go do nieprawdopodobnych wyczynów, tak jak dzisiaj wielbiciel baseballu skandują „O-bro-na”, aby zdopingować swoich bohaterów.

„Le-vy, Le-vy...”

I nie będą zwracać uwagi na jego niezgrabny sposób biegania. Nie będą mu wytykać, że ma ponad sześć stóp wzrostu przy wadze poniżej stu pięćdziesięciu funtów, mimo niezliczonych koktajli mlecznych, które codziennie wypijał, by z chudzielca przekształcić się choćby w szczupłego mężczyznę.

„Le-vy, Le-vy!”

Nikomu nie będzie przeszkadzał śmiesznie sterczący kosmyk włosów i twarz farmera z Indiany ani też to, że nawet po trzyletnim pobycie w Anglii wciąż wyglądał na kogoś, kto kupiłby Most Brooklyński, gdyby tylko mu to zaproponowano. Niewiele osób go kochało, nikt go nie znał z wyjątkiem – dzięki za to Bogu – Doca. Ale to się zmieni. O tak, na pewno.

„LE-VY... LE-VY!”

A więc biegł teraz, w pełni przeświadczony, że nikt go nigdy nie zdoła pokonać, no, może z wyjątkiem Merkurego. Niezmordowanego, osławionego, aroganckiego, niezwycięzonego Latającego Fina we własnej osobie, Nurmiego.

Levy zwiększył tempo.

Do mety zostało jeszcze wiele mil, lecz teraz nadszedł moment największej próby, próby serca.

Levy jeszcze bardziej zwiększył tempo.

Levy zyskał przewagę nad innymi.

Półmilionowy tłum stojący wzdłuż trasy biegu nie wierzył własnym oczom. Ludzie wrzeszczeli wniebogłosy, tracili niemal kontrolę nad swoim zachowaniem. To, co się działo w tej chwili, było niemożliwe, a jednak widzieli to wyraźnie: Levy zabierał się do wyprzedzania Nurmiego!

Levy, ten przystojny Amerykanin, zbliżał się do rywala. Naprawdę. Levy, tak pewny siebie, że zdobył się nawet na uśmiech, kiedy mknął z największą szybkością w historii biegów maratońskich, bez wątplenia odbierał Nurmiemu palmę pierwszeństwa. Nurmi był tego świadom – za jego plecami działo się coś strasznego. Obejrzał się przez ramię i dla wszystkich widzów stało się jasne, że traci wiarę w zwycięstwo. Próbował przyspieszyć, lecz już i tak osiągnął szczyt swoich możliwości. Nogi odmówiły mu posłuszeństwa, stracił właściwy rytm. Levy był coraz bliżej. Levy przystępował do ostatecznego ataku. Levy był gotów go wyminąć. Levy...

Thomas Babington Levy przystanął na chwilę i oparł się o ogrodzenie. Tego dnia trudno mu było naprawdę skupić się na rozmyślaniach o Nurmi.

Bolał go bowiem ząb. Kiedy Levy biegł, kiedy jego prawa noga uderzała o ziemię, wstrząsała dziurą po prawej stronie górnej szczęki. Pomasaował obolałe miejsce, zastanawiając się, czy nie powinien złożyć wizyty dentyście. Ból dokuczał mu od niedawna i być może zniknie

równie nagle, jak się pojawił, bo nie stawał się silniejszy i dawał we znaki tylko podczas biegu. Dentyści i tak cię wykorzystywali, żądali bająskich sum za jakieś dwie minuty pracy, a przecież można było wydawać pieniądze na lepsze rzeczy, na przykład książki, wszystkie książki, jakie kiedykolwiek wydrukowano, albo choćby płyty. Do diabła z tym, zdecydował Levy.

W końcu to naprawdę nie miało wielkiego znaczenia. Kiedy dentyści znajdowali już jego słaby punkt, niemal posyłali go na tamten świat...

